

**KĄŻDY, KTO POZNAJE TEN SEKRET, GINIE.
ODWAŻYSZ SIĘ?**

SKAZA

**ZBIGNIEW
ZBOROWSKI**

Zbigniew Zborowski

SKAZA

znak *litera
nova*
Kraków 2017

Copyright © by Zbigniew Zborowski

Projekt okładki
Izabella Marcinowska

Fotografia na okładce
Copyright © Dave Wall/Arcangel Images

Opieka redakcyjna
Monika Kucab
Agata Pieniązek

Redakcja
Milena Schefs

Adiustacja
Małgorzata Kuśnierz

Korekta i łamanie
DreamTeam

ISBN 978-83-240-3790-2

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Wydanie I, Kraków 2017

Druk: Abedik

TERAZ

Warszawa. Sobota

Ciało leżało w największym z trzech pokoi mieszkania na siódmym piętrze. Przez drzwi balkonowe widać było ulicę Międzynarodową, łączącą się trzysta metrów dalej z Trasą Łazienkowską, czteropiętrowe bloki i sieciową cukiernię, w której sprzedawano pyszną pavlovą. A także spory market spożywczy, parking strzeżony i niski budynek, kryjący chyba administrację osiedla.

Podkomisarz Bartosz Konecki wiedział, że gdyby zrobił krok nad denatką i podszedł do szyby, miałby szansę ujrzeć ciągnące się po lewej stronie ogródki działkowe. Nie ruszył się jednak z miejsca. Bo raz, że teraz, w połowie marca, nie było na co patrzeć, a dwa, że wszystkie okna oglądał technik w poszukiwaniu „paluchów”. Konecki z najwyższym trudem oderwał więc wzrok od okna i zmusił się do spojrzenia na ciało.

Kobieta przed trzydziestką, dość pulchna i zupełnie naga. Całkiem długie kasztanowe włosy rozrzucone na tandetnym, wydeptanym dywanie przykrywającym jeszcze bardziej tandetną podłogę z płytek.

Kto jeszcze ma dziś w domu takie płytki? – pomyślał oskarżycielsko. – Jeśli kogoś nie stać na drewniany parkiet, kładzie przynajmniej panele.

Szybko zorientował się jednak, że znowu próbuje uciec od widoku denatki, więc powrócił do lustrowania jej obnażonego ciała. Śmierć dopadła ją w pozycji klęczącej. Teraz leżała na plecach, wsparta o własne pięty, z nogami zgiętymi w kolanach. Duże, naprawdę konkretne piersi, ręce skrępowane z tyłu taśmą izolacyjną, kasztanowa kępka między udami. Marmurowo biała skóra, z którą kontrastowały ciemnoczerwone rany po cięciach i drobne, występujące parami siniaczki. A także szare sploty taśmy izolacyjnej, którą zakleiono jej usta. Zastygłe, wlepione w sufit oczy, zasnuwane białawą mgiełką.

Nie, szlag by to trafił – pomyślał Konecki. – Za dużo tego.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju. Niestety, w korytarzyku też było sporo ludzi. Wychodził fotograf, wchodził patolog, kręcił się aspirant z prewencji, który pierwszy znalazł trupa. Podkomisarz poszedł więc prosto do kuchni, którą chłopcy z laboratorium kryminalistycznego zdążyli już obejrzeć, i zapatrzył się na Pałac Kultury, widoczny po drugiej stronie zasłoniętej niskimi blokami Wisły. Nawet tu dogonił go słodkawo-mdłący zapach śmierci.

Bartek oddychał płytko, starając się powstrzymać nudności.

Cholera, jeszcze brakuje, żebym się tu zrzygał – pomyślał ze złością.

Po minucie czy dwóch poczuł się na tyle lepiej, żeby wrócić do pokoju. Szczęśliwie masywne cielsko jego partnera, komisarza Zdzisława Zaprawy, przesłaniało makabryczny widok. Konecki przesunął wzrokiem po wyposażeniu pokoju. Z lewej meblościanka z czasów Peerelu, z ustawionymi

w idealnym porządku bibelotami, muszelkami i figurkami. Obok parę książek, stojących od największej do najmniejszej, i zdjęcie dziewczyny w drewnianej ramce. Ładna buzia, wesołe miodowe oczy, uroczne dołeczki w policzkach. Obejmowała ją para starszych ludzi. Pewnie rodzice. Trzeba będzie ich zawiadomić... Dalej, już przy samym balkonie, telewizor lampowy. W oknach zasłony i firanki. Po prawej wąskie półki z książkami, rozkładana sofa z Ikei, stolik, lampka nocna.

– Jak tam, komisarzu Konecki? Lepiej troszeczkę? – Z ust pochylonego nad zwłokami patologa padły ociekające ironią słowa. – Już nie mdli?

– Odpieprz się od chłopaka – zamruczał basem Zaprawa, a potem zwrócił się do swojego partnera: – Idź, Bartek, pogadać z tym aspirantem. Po co chłopak ma wyrabiać nadgodziny w przedpokoju?

Konecki z ulgą wrócił na korytarz. Za sobą usłyszał jeszcze ściszony głos patologa:

– Co tak się z nim pieścisz? Ile lat koleś robi w policji? Dziewięć? Dziesięć? Chyba miał dość czasu, żeby przestać się bać trupów?

– Mówię, odpieprz się od niego.

Konecki z aspirantem wyszli na klatkę schodową. Zza wszystkich czterech par drzwi na piętrze wystawały głowy sąsiadów. Bartek pociągnął więc aspiranta do okna w korytarzyku. Wyjął notatnik.

– Kurde blaszka, ale akcja – zagaił aspirant. – Mogę zapalić?

Nie czekając na odpowiedź, sięgnął do kieszeni i wyciągnął paczkę „koziółków” z przemytu. Podsunął papierosy Koneckiemu, ale ten pokręcił głową.

Aspirant zapalił, zaciągnął się, wypuścił dym w stronę ciekawskich. Konecki przełknął ślinę. Nie palił już prawie pół roku. Za to wcześniej wykańczał nawet dwie paczki dziennie. Teraz język przykleił mu się do podniebienia.

– W sumie to nieźła nawet laska była, nie? – Aspirant wyraźnie się odprężył. – Cycki takie... Szkoda.

– Jak się nazywacie? – uciął podkomisarz.

Tamten spojrział na niego z mieszaniną zdziwienia i niesmaku.

– Ja?

– A kogo tu jeszcze z nami widzicie? – Z każdym słowem Konecki odzyskiwał pewność siebie, nadwątloną w tym przeklętym pokoju.

Nie dziesięć ani dziewięć – pomyślał. – Za miesiąc, pod koniec kwietnia, będzie siedem lat, jak jestem gliną.

Młody, zdolny, przebojowy – tak o nim mówiono. Szybka kariera, szybki awans. Dzisiaj to już przeszłość.

– Aspirant Kowalczyk Jerzy – wyrecytował tamten obrażonym głosem.

Był o głowę niższy od Koneckiego, ale mocnej budowy. Z wydatnym brzuchem. Rumiane policzki pokryte cieniem wieczornego zarostu, gęsty, gruby, pieczołowicie przycięty wąs.

Stara gwardia – pomyślał z niechęcią podkomisarz.

Policjant natomiast postanowił pokazać, że zna się na rzeczy. Skoro komisarz nie życzy sobie luźnej gadki, to proszę bardzo. Mówił krótko, rzeczowo, konkretnie.

Wezwanie było do rejonowej na Grenadierów dwie godziny temu. Dokładnie o 16.40. Zgłaszała sąsiadka, Jadwiga Stasiak. Tamte drzwi za schodami, numer mieszkania 44. Że przez wspólną ścianę słyszy jakieś odgłosy. A raczej słyszała, bo już ucichły.

– Jakiego rodzaju? – przerwał Konecki.

– A to już pan komisarz sam u niej ustali. – Oczy aspiranta zwęziły się chytrze. – Moja rola była przyjechać tu z dzielnicowym i sprawdzić.

– Mówcie dalej.

Nie dowiedział się wiele więcej. Przyjechali, pukali, dzwonili. Nic. Pewnie by poszli, ale pani Jadwiga była bardzo zdenerwowana. Energiczna kobitka. Paplała, że jej sąsiadka cicha, spokojna, a tu od paru godzin jakieś hałasy, jęki...

Konecki powstrzymał się od kąśliwej uwagi, że aspirant Kowalczyk jednak wie, jakiego rodzaju odgłosy dobiegały zza ściany, i słuchał dalej. O tym, jak Stasiakowa urobiła ich w końcu, żeby poszli po dozorcę i w jego obecności otworzyli zamknięte drzwi jej zapasowym kompletem kluczy.

– Weszlim, popatrzylim i od razu wiedzieliśmy, że trzeba dzwonić po terror kryminalny – zakończył Kowalczyk filozoficzną refleksją.

Bartosz Konecki zapisał numer telefonu aspiranta i pozwolił mu odejść. Kiedy korpulentna sylwetka starego wygi

zniknęła za ciężkimi drzwiami prehistorycznej windy, podkomisarz poczuł, że w pełni odzyskuje siły. Pewnie dlatego, że nie musiał tam wracać i patrzeć na zmasakrowane ciało kobiety. Czy ją torturowano? Zgwałcono? Szybko wyrzucił z głowy te pytania. Jego zadaniem było teraz przesłuchanie mieszkańców bloku. Przede wszystkim pani Jadwigi. W takich sprawach czas ma kluczowe znaczenie. Pamięć świadków jest ulotna, ich zaangażowanie i chęć udzielania pomocy organom ścigania także. Dla wykrycia sprawcy najważniejsze są pierwsze godziny śledztwa.

* * *

– I jak? W porządku? – z nieskrywaną troską w głosie zapytał Zaprawa, kiedy około północy pakowali się do jego wysłużonej octavii, zaparkowanej pod blokiem numer 46, na samym środku drogi pożarowej.

– W porządku.

Komisarz zbliżył kluczyk do stacyjki, ale jego niedźwiedzia łapa zamarła w pół drogi. Sapał, powiercił się, na co zawieszenie pojazdu odpowiedziało skrzypieniem i jękiem, a potem zmierzył partnera wzrokiem.

– Czego? – nie wytrzymał Konecki.

– Dajesz radę? – odpowiedział pytaniem Zaprawa.

– Wszystko okej.

– Bo wiesz... Może to nie był najlepszy pomysł, żeby akurat ciebie przydzielać do tej sprawy... Stary jakby trochę zapomniał, no wiesz...

Tym razem to Konecki uważnie zmierzył partnera wzrokiem. Czyżby Zaprawa nie był go pewien? Bał się, że spieszy mu śledztwo? Będzie ciężarem?

– Poradzę sobie, Zdzisiek – powiedział, nadając głosowi ton zdecydowania, który miał pokryć wątpliwości.

Kolega patrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem wreszcie uruchomił silnik.

– Dobra, wierzę ci – zaburczał o ton niżej od warkotu zimnego diesla. – Bierzmy się do roboty. Prokurator chce mieć na rano wstępny raport.

– Którego nam przydzielili? – zainteresował się Konecki.

– Pawłowicza.

– O, do diabła.

– No właśnie – zamruczał Zaprawa.

Prokuratora Piotra Pawłowicza policjanci za plecami nazywali Kunktator. Facet był niski, zawsze usłużny wobec przełożonych i bezlitośnie wymagający wobec zwykłych gliniarzy. Nie mogli trafić gorzej.

* * *

Pod Komendę Stołeczną za placem Bankowym dojechali w dziesięć minut. Wcale nie dlatego, że Zaprawa prowadził szybko. Komisarz był powolny – i pieszo, i w samochodzie. Tylko myśleć umiał szybko – to dzięki temu już od piętnastu lat zajmował biurko w wydziale dochodzeniowym najważniejszej komendy w Warszawie. Po prostu o tej porze prawie nie było ruchu. Przemknęli więc Międzynarodową

do Waszyngtona, potem przez most Poniatowskiego, Marszałkowską i plac Bankowy do rozległego gmaszyska pałacu Mostowskich. Kiedy wchodzili, oficer dyżurny nawet nie podniósł głowy.

– Dawaj, co masz – wysapał zmalretowany wejściem po szerokich schodach Zaprawa.

Konecki zalał kawę w dwóch kubkach i postawił je na blacie, plamiąc jakieś zalegające tam od wieków papierzyska, przysunął sobie krzesło, usiadł i zaczął mówić.

Szału nie było.

Tylko Stasiakowa coś słyszała. Reszta mieszkańców wieżowca przy Międzynarodowej, róg Zwycięzców, nie zauważyła niczego podejrzanego. Właściwie trudno się dziwić. W sobotę wczesnym popołudniem na Jedynce leciał Okrasa, na Dwójce *Familiada*, w TVN-ie puszczała *Singielkę*, a w Polsacie – *Słoiki*. Poza tym ludzie robili obiad, użerali się z dziećmi, ktoś nawet poszedł na spacer. Była jednak pewna rzecz godna odnotowania. Około czternastej na domofon Wasików spod numeru 61 zadzwonił mężczyzna podający się za ratownika pogotowia. Że niby przyjechał do kogoś innego, ale pomylił guziki. Wasikowie otworzyli i wrócili do oglądania *Drogówki* na TV 4.

– Tak się dostał na klatkę schodową – zamruczał Zaprawa. – A co powiedziała Stasiakowa?

Konecki wrócił myślami do rozmowy z sąsiadką ofiary. Pani Jadwiga Stasiak nie była kruchą staruszką. To była wielka baba o małych, świdrujących oczkach i ciętym języku, którego nie stępił siódmy krzyżyk na karku. Bartek mu-

siał bardzo uważać, żeby nie wypaść z roli przesłuchującego i nie stać się przesłuchiwanym. Stasiakowa wiele wiedziała o mieszkańcach bloku, a już szczególnie Wasikom nie szczędziła cierpkich słów. Że pijaki, co do kościoła chodzą tylko dla picu, a jak bigos gotują, to smród niesie się do parteru. Zosię Pogodę kochała jednak prawie tam samo jak swoje dorosłe, „wyjechane do Anglii” dzieci. Odkąd dziewczyna dwa lata temu wynajęła mieszkanie na siódmym piętrze, pani Jadwiga dałaby się za nią pokroić. Cicha, spokojna, a do tego podobno miała tytuł doktora. I tylko jedno martwiło Stasiakową – że jej niespełna trzydziestoletnia sąsiadka nie ma narzeczonego. Że samotna taka. Kiedy więc w pokoju swojej kawalerki, sąsiadującym z Zosią kuchnią przez ścianę, usłyszała koło 14.30 jakieś sapania i jęki, pomyślała sobie z radością: „Oho, nareszcie moja dziewczynka sprowadziła sobie jakiegoś chłopca”. To dlatego nie wszczęła alarmu od razu. A nawet radio pogłośniła. Teraz z tego powodu ma ochotę włosy rwać sobie z głowy. Na policję zadzwoniła dopiero wtedy, kiedy coś gruchnęło o ziemię. Kuchenny stołek chyba. Przyłożyła wtedy ucho do ściany i usłyszała chrobot zamka. I zaraz po nim trzaśnięcie drzwi windy. A potem to już nic. Myślała, że zaraz rozlegnie się szum wody w łazience, przecież wiadomo, że Zosia taka czyścioszka... A tu nic, cisza. Wtedy do niej zadzwoniła. Bez odbioru. No i wykręciła wreszcie 112.

– A jak usłyszała to chrobotanie, nie wyjrzała przez wizjer? – Zaprawa zmierzył partnera uważnym spojrzeniem.

– Wyjrzała – potwierdził Konecki. – Ale jej drzwi wychodzą bardziej na zsymp niż na windę, więc niewiele widziała. Tylko czyjeś plecy.

– Plecy, powiadasz... – Zaprawa siorbnał wystygłą kawę.

– Szerokie, raczej na pewno męskie. W szarej bluzie dresowej.

– Przez okno nie popatrzyła, kto wychodzi z bloku?

– Jej okno znajduje się po stronie Pałacu Kultury, zachodniej.

– A wyjście z bloku jest na Trasę Łazienkowską. Na południe – przypomniał sobie Zaprawa.

Zamilkli. Otoczyła ich nocna cisza. Zza okna nie dochoziły dźwięki ani samochodów, ani tramwajów. W całym wydziale nie było żywego ducha. Tylko gdzieś z piętra niżej, od strony kanciapy dyżurnego, dobiegały jakieś radosne bluzgi i stłumione śmiechy. Pewnie świrusy z laboratorium kryminalistycznego przyszły popracować nad raportem z oględzin mieszkania.

– Na pewno możemy odrzucić motyw rabunkowy – zmęczonym głosem odezwał się komisarz. – Z mieszkania denatki raczej nic nie zginęło. Laptop, komórka, niewielka suma pieniędzy... Na to się sprawca nie połakomił. Pokoje nie zostały też przeszukane, nikt nie otwierał szaf ani szuflad.

Komisarz spojrział na Koneckiego, jakby oczekiwał potwierdzenia. Ten jednak czuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Coś nie dawało mu spokoju. Coś, co zobaczył w tym mieszkaniu. Tylko co? Był zbyt zmęczony, by wydobyć to z podświadomości.

Zaprawa, nie doczekawszy się od partnera choćby skinienia głową, mówił dalej.

– Na ten moment skłaniałbym się więc do dwóch wersji. Pierwsza – odgiął palec gruby jak trzonek młotka – to motyw napaści seksualnej.

– Ofiara otworzyła sprawcy drzwi – przebudził się Konecki. – A Stasiakowa mówiła, że dziewczyna była raczej ostrożna.

– Nygus mógł jej powiedzieć cokolwiek! – Komisarz machnął ciężką łapą. – Że jest z gazowni albo administracji. Mógł podać się za hydraulika i wcisnąć kit, że mieszkanie na szóstym woda zalewa. Sam wiesz, jacy ludzie, nawet ci ostrożni, są naiwni.

Podkomisarz przygryzł wargę. Nagle żołądek podjechał mu do gardła, a lewa powieka zatrzepotała w tiku niemożliwym do opanowania.

Zaprawa gapił się na niego chwilę ze zmarszczonym czołem.

– Oż kurna, przepraszam. Zapomniałem – zadudnił.

Tak, on ma rację. Ludzie są naiwni – zgodził się w myślach Konecki. Sam wiedział o tym najlepiej.

– Mów dalej. – Sformułowanie tych rzuconych pozornie lekkim tonem słów kosztowało go mnóstwo energii.

– A druga – siedzący po przeciwnej stronie biurka kolos odgiął drugi palec – że zabójstwo to zemsta jakiegoś odrzuconego kochanka, szurniętego stalkera lub beznadziejnie zakochanego kolegi z pracy.

Konecki przez chwilę trawił słowa Zdzisława. Poczł niepokój. Niejasne wrażenie, że właśnie pakują się w ślepa

uliczkę. Coś w zapamiętanym obrazie mieszkania Zofii Pogody go niepokoiło. Wywoływało dyskomfort. Drażniło. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, co to takiego.

– Plan działania na jutro. – W ulotne myśli wdarł się niski głos Zdzisława. – Z samego rana raport dla Pawłowicza. Ty go napisz, dobrze? A poza tym...

Komisarz na chwilę zamilkł, zbierając myśli. Jego ciężkie, pokryte czarnymi włoskami paluchy zabębniły w blat biurka. Mebel zakołysał się niebezpiecznie, a uśpiony ekran stojącego na nim komputera rozjaśnił się tapetą przedstawiającą Zdzisława Zaprawę obejmującego całkiem ładną nastoletnią blondyneczkę – jego córkę. Jowitę, zdaje się. A może Justysię? Tak czy inaczej, dziewczyna była wielką dumą i oczkiem w głowie tatusia. Już wkrótce miała wyjechać na zagraniczne studia.

Patrząc na latorośl partnera, Konecki doznał nagłego uderzenia żalu. Tak nagłego i tak silnego, że miał ochotę skulić się na krześle.

– Poza tym potrzebujemy listy wszystkich zboków pozostających aktualnie na wolności – grzmiał tymczasem Zaprawa. – Trzeba ich posprawdzać. Ja się tym zajmę. No i wypada pogadać z rodzicami denatki. Wypytać o narzeczonych, szczególnie tych byłych. To twoje zadanie.

Podkomisarz tylko pokiwał głową. Dostał najgorszą robotę. Przedstawienie wstępnych ustaleń Kunktatorowi, który na sto procent przeczoułga go jak kota, i powiadomienie o śmierci jedynaczki dwojga starszych państwa. Niezły początek, ale nie zaprotestował. Znał swoje miej-

sce. A poza tym... dopiero wracał do gry. Zapytał więc tylko:

– A sekcja zwłok? Zabezpieczenie śladów z jej mieszkania? Billing telefonu? Sprawdzenie komputera?

Zaprawa spojrzał na niego ciężkim wzrokiem.

– Słuchaj, synek, nie bierz mnie tutaj pod włos, okej? To wszystko będzie. Kiedy... będzie. Wiesz chyba, ile czasu łapiduchy potrzebują na zrobienie sekcji.

– To priorytetowa sprawa...

– Priorytet czy nie, tydzień jak obszył. Niewiele krócej trzeba czekać na raport chłopców z laboratorium. A już informatycy to będą grzebać się w jej laptopie ruski rok albo i dłużej.

– To może chociaż billingi?

– To już nie te czasy co pół roku temu. – Głos Zaprawy nieco zmiękł. – Nie zadzwonisz już sobie prywatnie do operatora, żeby ci po starej znajomości przysłał wykaz numerów przed decyzją sądu. Teraz trzeba wystąpić z oficjalną бумаgą i czekać.

– Aha.

– No a czas leci, co nie? Śledztwo trzeba prowadzić, bo nam skurczysyn, który ją pokroił, pryśnie, jak, nie przymierzając, ten szajbus, który rok temu uciął kobiecie głowę na Skierniewickiej. Dobrze mówię?

Konecki nie odpowiedział. Pytanie Zaprawy uznał za retoryczne.

– Nie będziemy siedzieć na tyłkach i popijać kawki. Trzeba... – tu Zdzisław przywalił kułakiem w biurko tak, że aż

u dyżurnego ucichły śmiechy – ...dorwać drania, zanim wypłoszą go nam media.

– Albo drani...

Komisarz spojrzął na Koneckiego roztargnionym wzrokiem.

– Co?

– Może nie był sam.

– Wątpię. Większości podobnych przestępstw dokonuje jeden popaprany zbok. Zaufaj nochalowi starego gliny. Zobaczysz, za parę dni wyciągniemy świrusa w samych gaciach z jakiejś meliny i nakarmimy nim Kunktatora.

– Amen – powiedział bez uśmiechu Konecki.

HISTORIA, KTÓRA NIE DA CI ZASNAĆ PRZEZ KILKA KOLEJNYCH NOCY

ZAGŁĘBIENIE TUŻ POD POTYLICĄ.

Najsłabiej osłonięty mięśniami punkt kręgosłupa szyjnego.
Nawet lekkie uderzenie ostrym przedmiotem w to miejsce
przerzywa rdzeń kręgowy i powoduje śmierć.

TAK ZGINĘŁA MŁODA KOBIETA. TAK ZABIĆ MÓGŁ TYLKO FACHOWIEC.

Komu zależało na śmierci doktorantki Zakładu Fizyki Jądrowej?
I czy to możliwe, że morderstwo ma coś wspólnego
z tajemniczym odkryciem przedwojennego polskiego naukowca?

znak.com.pl
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-240-3790-2



9 788324 037902 >

Cena 36,90 zł